

# Szkice z kolonii polskich w Paranie.

## Rio Claro.

Kiedym przed pięcioma laty zwiedzał brzegi Iguassu, Rio Claro było jeszcze w dziedzinie projektów. Zwarty las ciągnął się nieprzerwanym obszarem od St. Mateusza aż do paragwajskiej granicy, a jedynie nieliczne parowce rzeczne od czasu do czasu przystawały w Barrafei w drodze do Porto Uniao, aby przyjąć ładunek *Hervy mate*\*) od kilku rozrzuconych wśród puszczy po obu brzegach rzeki „Kaboków“. Dzisiaj jest to jedna z największych osad polskich w Brazylii. Kolonia Rio Claro zajmuje obszar lasów po prawym brzegu Iguassu, pomiędzy rzekami: Putinga, Rio Azul i Rio Claro zamknięty, granicząc od wschodu z terytoryjami polskiej spółki kolonizacyjnej na *Kamiennej Górze* (*Escapa Cavallo*), od północy z prywatną kolonią *Rio Azul* —

---

\*) Jest to herbata paragwajska, pochodząca z krzewu albo małego drzewka, nazwanego botanicznie ostrokrzew paragwajski (*Ilex paraguayensis* St. Hil), rosnącego nie tylko w Paragwaju ale i w Brazylii po lasach.

ku zachodowi ciągną się nietknięte jeszcze puszcze, któremi prowadzi bardzo licha ścieżka, dostępna dla mułów w porze suchej, w czasie deszczów niedostępna całkowicie — do miasteczka *Porto Uniao*, stanowiącego początek nowej linii kolonij galicyjskich — na lewym brzegu Iguassu — do Palmas się ciągnącej.

Środkowy punkt kolonii, właściwe *Rio Claro*, leży o 7 mil na zachód od Mateusza, nad rzeką tego imienia, o milę na północ od brzegu Iguassu. Przystań na tej ostatniej rzece, połączona z miasteczkiem szeregiem kolonij, nosi nazwę *Baraffeia*.

Połączenia kołowego z sąsiednimi koloniami nie ma dotychczas — jedyny gościniec dla wozów dostępny prowadzi do przystani w *Baraffeia*. Komunikacja ze światem zewnętrznym odbywa się bądź przez Mateusz — konno, bądź drogą wodną po rzece — regularnej żeglugi dotychczas nie ma — nader bowiem zmienny stan wody w Iguassu bardzo takową utrudnia.

Powiedziałem, że *Rio Claro* jest *miasteczkiem* — wymaga to jednak zastrzeżenia, iż mowa tu o osadzie południowo-amerykańskiej, gdzie niekiedy *miasta* powiatowe i departamentalne, umieszczone we wszystkich atlasach geograficznych — liczą niekiedy po kilka zaledwie nędznych chałup.

Na obszernym, oczyszczonym z pod lasu placu, na którym sterczą tu i ówdzie niewygniłe dotąd pnie araukaryj i walają się potężne kłocce nieobrobionego drzewa, widać rozrzucone zrzadka, na pozór bezładnie — pojedyncze drewniane domki, których liczba rośnie nieustannie: to *wendy* czyli mówiąc językiem galicyjskim — „grajzlernie“ — w których obyczajem amerykańskim dostanie wszystkich towarów — od łokciowych począwszy, a skończywszy na narzędziach rolniczych, książkach do nabożeństwa, siodłach — przedewszystkiem jednak musi być nieodzowny „kaszas“ czyli wódka trzciniowa, bez której żaden handel tu obejść się nie może. Sklepiki takie, w których cały zapas towaru czasami wart jest paręset franków, robią wcale dobre interesa, to też konkurencja rośnie, a z nią, na szczęście kolonistów, zniżają się też barbarzyńskie ceny, jakie pierwsi kupcy za wszystko płacić sobie każą.

W jednej z takich *wend* mieści się agencja pocztowa, dość prymitywna: w izbie szynkowej wystawionym jest spis adresatów, o nazwiskach zazwyczaj przekreślonych, do których przesyłki pocztowe nadeszły — pocztę przywozi obdarty, konny posłaniec, obsługujący całą linię pomiędzy Palmeira i Palmas. Obob *poczty*, dość ponętny domek administracji kolonialnej, rezydencja osła

wionego z gwałtów i złodziejstwa szefa kolonii pana *Luisa Maravalho* i jego murzyńskiego sztabu.

Naprzeciwko okien u szefa — szereg budek z bambusu i palmowych liści — w których mrą na tyfus głodowy nowo przybyli z Galicyi emigranci. Opodal — parterowy budynek z zawieszonym w bramie dzwonkiem — oznacza plebanię i kościół, w którym rezyduje dzisiaj najstarszy z kapłanów polskich w Brazylii — ks. Ludwik Przetarski.

Prostopadle do głównej ulicy przechodzi droga, prowadząca na dalsze kolonie — a na niej znowu *wendy*, z nich trzy polskie — Sellnera, Trojana — będąca zarazem lokalem polskiego towarzystwa i czytelnii im. św. Izydora, oraz najnowsza — pp. Jerzego Festenburga i Bohdana Mikoszewskiego. Opodal, lichy domeczek zamieszkuje jeden z najbardziej wpływowych w kolonii obywateli, p. Józef Kamiński z Królestwa Polskiego, ex-oficer artyleryi. a obecnie stolarz i stelmach. Dalej, w którąkolwiek stronę ruszymy, ciągnie się już las mniej lub więcej wytrzebiony i bieleją drewniane domki kolonistów polskich.

Plan kolonii jest następujący: z południa na północ idzie linia główna (*linea do fundo*) dochodząca do granicy kolonii — rzeczki *Rio Azul* — długość jej wynosi około 6 mil, z czego tylko pierwsza mila jest szerokim gościńcem kołowym, trzy mile dalsze — drogą konną, a dalej ścieżką (*picada*) tylko dla pieszych dostępną.

Od tej linii głównej w kierunku prostopadłym, w odległości 1 mili od siebie idą *linie*, oznaczone numerami porządkowymi 1—6, z tych 1—4 na lewo, 5—6 na prawo od drogi głównej. Linie boczne połączone są gdzieśgdzie przecznicami (*vicinales*, również ponumerowanymi. Co 200 metrów w każdej z linii wymienionych — chałupa z desek sosnowych sklecona — mieszkańcami kolonii są wyłącznie Polacy i Rusini. Pierwsi, jako dawniej przybyli, osiedleni są bliżej, zajmując linię główną do 30 kilometrów od miasta, drogę do *Baraffeia*, oraz linie boczne wraz z przecznicami nr. 1—3. Rusini — przybyli w roku ubiegłym, zostali wysłani zwartą masą na krańce kolonii — zajmują więc linie 5 i 6 połowę 4, oraz najdalsze, niedostępne prawie końce polskich linii 1—3; korzystniej umieszczeni są ci, którym się dostały grunta w pobliżu gościńca do *Baraffeia* prowadzącego — tu jednak nie stanowią oni zwartej masy, lecz są wsunięci pomiędzy dawniejszych osadników polskich. Liczba rodzin, osiedlonych w *Rio Claro*, dochodzi 500, z czego  $\frac{1}{3}$  stanowią Rusini.

Linie 5 i 6, jako czysto ruskie i do tego oddalone od Rio Claro kilkumilową przestrzenią niemożliwej drogi — stanowią odrębną całość, a jakkolwiek dzisiaj opierają się jeszcze o las dziewiczy, w niedalekiej przyszłości będą miały położenie lepsze, aniżeli samo Rio Claro — nowa bowiem kolej, budująca się już z Ponta Grossa do Porto Uniao, ma przejść przez północną część terytorium kolonii Rio Azul — a tem samem otworzy się osadnikom nowe źródło zarobku.

Osadnicy polscy, przybyli tutaj przed pięcioma laty, są już dzisiaj bez wyjątku zamożnymi gospodarzami — gleba tu bardzo żyzna, lepsza znacznie niż w Mateuszu, herwa mate w lesie obficie rośnie, a napływ nowych emigrantów galicyjskich dozwolił im wysprzedać korzystnie wszystkie zapasy artykułów spożywczych, jakie mieli do zbycia. Są to przybysze przeważnie z Królestwa Polskiego — rzemieślnicy, służba folwarczna lub robotnicy fabryczni — obrotni i przedsiębiorczy, którzy w trudnych warunkach początkowego pobytu umieli sobie dać radę. Sieją żyto, kukurudzę, bataty, mandiokę, fasolę, tatarkę i ważywa europejskie; prawie każdy posiada pszczoły — dające się tutaj chować z nadzwyczajną łatwością — u każdego widziałem dobre konie, krowy, wieprze i drób. Dobrobyt wszędzie widoczny, nie słyszałem od osadników starszych nigdy skarg na swój los.

O wiele gorszem jest położenie emigrantów galicyjskich. — Pierwsza partya, przybyła pod patronatem Towarz św. Rafała, trafiła jeszcze szczęśliwie na czas najlepszy, bo i grunta były wymierzone, tak, iż nie kazano im czekać, i szef był człowiek ludzki, a nadto rząd wydawał im wikt przez cztery miesiące po osiedleniu i jakkolwiek więc umieszczono ich bez wyjątku w najdalszych zakątkach kolonii wśród gór trudno dostępnych — przy pomocy wzajemnej przebyli najcięższe początki szczęśliwie, dzisiaj są już na dorobku, mając zapewniony przynajmniej kawałek suchego chleba.

Po tej pierwszej partyi atoli przybyli inni; szefa ucziwego usunięto, tymczasem — na jego miejsce przybył łajdak i złodziej — gruntów wymierzonych nie było, w kancelaryi kwitło grube łapownictwo, rząd nie miał nigdy pieniędzy na wypłaty, aptekę i dozór lekarski ze względów oszczędnościowych skasowano, przestano wreszcie wydawać żywność emigrantom, dostarczając im zaledwie bardzo licho płatnej roboty przy drogach rządowych i obdzierając przytem bez litości przy wypłatach. Wielu z tych

biedaków na tyfus głodowy w barakach przed oknami nieludzkiego dyrektora pomarło — inni, mniej niedołęzni, zamiast żebrac litości u człowieka, który nie czuł tego wyrazu — poszli szukać zarobków u kolonistów polskich i Brazylianów — z tych się jeszcze ludzie wyrobią. Niedołęstwo, apatya i jakiś czysto wschodni fatalizm ruskich wychodźców przyczyniają się bardzo do pogorszenia i tak niegodnego zazdrości położenia.

Obecnie posiadają Rusini na 5-tej linii swego kapłana ks. Nikona Rozdolskiego i krzątają się około założenia czytelnicy i towarzystwa. Niektórzy otrzymują pisma ruskie jak „Diło“ i „Swobodę“. Jest pomiędzy nimi kilku ludzi inteligentnych, oraz jeden kupiec (wendziarz) — niejaki Kożan.

(Z *Gaz. handl.-geogr.*)

*J. Siemiradzki.*